

Die 17 octobris
Kijów, przed południem

Kijów był drewniany, skąpany w błocie, z którego wyrastały w górę niczym grzyby pozłociste bulwy cerkwi – Świętej Zofii i Świętego Michała, zwieńczone lasem prawosławnych krzyży. Miasto, stłoczone między górami – gdzie na najbardziej stromej, zwanej Florowską, wznosił się Litewski Zamek – a ogromnym Dnieprem, błyszczącym niczym obnażona głownia szabli, wrzało od okrzyków. Na ulice i przed bramy wyległy tłumy, tak pstrokate i zmienne jak dusza Kozaka zaporoskiego.

Dymitr zatrzymał się w domu wójta Mitkowica i zaraz ogłosił, że jako następca moskiewskiego prestoła uwalnia jak leci wszystkich kijowian od ciężarów ponoszonych w Wielkim Księstwie Moskiewskim – szosowego, kopytkowego i myta. W ruskim grodzie bito w dzwony, a żacy z akademii, popi i czerńcy składali dzięki Panu Bogu i modlili się za powodzenie wyprawy. Kijów bowiem, choć drewniany i obwarowany gorzej niż kurnik, był bogaty i ludny, żył zaś z handlu zbożem, futrami, woskiem, miodem, łojem i soloną rybą, głównie z Moskwą. Któremu to handlowi każdy kolejny car starał się nałożyć wędzidło i kaganiec.

Buczyński ruszył do tłoczni ruskich, aby zamówić całe funty gramot i uniwersałów, które zamierzał rozrzucić po siołach i dierewniach moskiewskich i wzburzyć nimi umysły wrogów cara Borysa. Dworycki pił ze starszyzną u Mitkowica. A Dydyński, który razem z chorągwią stał na kwaterach na jakiejś kijowskiej ulicy – pokręconej jak labirynt i bez nazwy – poszedł odwiedzić wracającego do zdrowia Oboleńskiego.

Nie można rzec, aby szedł z lekkim sercem. Po pierwsze, ciągle maskował gniewem i pogardą lęk przed Moskałem. Po drugie, zdawał sobie sprawę, iż intryga, którą rozpoczął, podając się za człowieka związanego z porywaczami Dymitra, była jak przysłowiowe igranie z ogniem na beczce prochu, a każde kłamstwo miało krótkie nogi. A przecież w taki sam sposób poigrał sobie Iwan Groźny z niejakim Gołochwastowem, który uszedł przed jego gniewem do klasztoru. Kazał umieścić go na baryłce z ognistym zielem i wysadzić w powietrze, dowodząc, że zakonnicy są aniołami, które winny wzlatywać do nieba. Oby teraz sam Dydyński nie poleciał pod niebiosa na husarskich skrzydłach.

Borys pófleżał na słomianym wyrku, w bocznym alkierzu, gdzie umieścił go Nieborski. Wracał do zdrowia szybko jak młody tur; Dydyński całą drogę zastanawiał się, co zrobi na jego widok. Czy będzie cedził słowa przez zaciśnięte zęby, czy też udawał pokornego sługę?

Chyba jednak to drugie, bo kiedy ujrzał stolnikowica, wolno podniósł się z posłania, a potem opadł na kolana i oddał zamaszty, niewolniczy, czyli moskiewski pokłon. Dydyński za wszystkie skarby świata nie był w stanie dociec, czy Moskał uważał go za pana, czy też wrodzony spryt kazał mu oddawać pokłony możniejszemu od siebie. Prawdziwe zamysły Borysa pozostawały dlań równie niezrozumiałe co dusza diabła albo natura niewiasty.

– Ojczulku Jacku Aleksandrowiczu – rzekł Oboleński z podłogi – jakie masz rozkazy dla wiernego sługi?

– Najpierw wstań! Na razie jesteś wśród Polaków, wolnych ludzi, i nie musisz się poniżać. Chyba że jednak nie mylą się ci,

co twierdzą, że każdy Moskal ma duszę w kajdanach. Jeśli tak, to zaszczekaj i zawyj jak kundel!

– Wasze wieliczestwo rozkazuje, a ja słucham – zapewnił Oboleński, bijąc czołem w ziemię. – Wedle rozkazu mogę być sobaką, koniem, jak i osłem. Ale prawdę powiadacie, bo wolę być... człowiekiem. Bożym rabem.

Borys podniósł się powoli, a Dydyński od razu pożałował swej dobroduszości. Wyprostowany Moskal był od niego dużo wyższy. Niewygodnie było szlachcicowi mówić do klęczącego, ale teraz musiał podnosić głowę w górę, jak gdyby gadał do spiżowej statuy.

– Teraz siadaj. O tam, na ławie – rzekł nieco zmieszany. – Nie bolą was, Moskali, karki od bicia pokłonów? Jak na was spoglądam, to myślę, że całe życie spędzacie, bijąc czołem a to przed carem, a to przed popem, a to przed byle wojewodą albo przed gorzałką, która zegnienie człeka równie skutecznie co ciężar świata grzbiet greckiego Atlasa.

– Wszelaka władza pochodzi od Pana – odrzekł niezmiyszany Borys, który jednak nie skorzystał z zaproszenia i stał jak słup soli. – Dlatego godzi się oddać jej cześć. Przed gosudarem biję czołem, bo to namiestnik, pomazaniec i Syn Boży. Jak mógłbym nie paść przed tym, który jest wcieleniem Jezusa Chrystusa?! Toż to grzech. A przed wami klękam, bo skoro macie Chrest i część owęj potencji, tedy macie w sobie moc Najwyższego.

– A zatem dlaczego nie oddajesz czci Dymitrowi?

– Bo to rostryga, wor i fałszywy prorok. Jemu pal pisany, a nie Czapka Monomacha. Gosudar – ooooo! – on jest wielki, a jego oblicze jak ikona świętej Rusi.

– Bez przerwy to od was słyszę – mruknął Dydyński. – Święta Ruś, święta Moskwa... Wszystko u was święte: ziemia, lud, cerkiew, car, a pewnie i tiurma, do której wtrąca niepokornych. I horyłka, którą jak wino trąbicie. Żadna chrześcijańska nacja nie poważyła się na nazwanie siebie błogosławioną. Ani Francuzi, ani Italczyzy, Niemce ani Hiszpanie. A wy nazywacie świętością Moskwę, gdzie car wedle woli wieszca i ścina, pali

i morduje, nie dając nawet niewiastom i dzieciom litości. Nazywanie świętością takiej strony świata to wielkie zuchwalstwo. Bałwochwalstwo. I bluźnierstwo!

Borys drgnął. Dydyński od razu położył dłoń na szabli.

Teraz! Zabije mnie! – przemknęło mu przez głowę.

Ale moskiewski niedźwiedź nie rzucił mu się do gardła. Przeciwnie – pozostał w miejscu jak tresowany miś ze smorgońskiej akademii, kołysząc się na tylnych łapach, a jego oblicze miało wyraz nieprzenikniony.

– Lud ruski nadał sobie taki tytuł nie przez zarozumiałość, ale w pokorze, wiedząc, że sam został wyświęcony przez swą służbę. Jest to jakoby imię otrzymywane na chrzcie lub podczas zakonnych ślubów. Przyjdzie czas, a zrozumiecie, że carstwo nasze, ojczulku Jacku Aleksandrowiczu, to jakoby jeden wielki monaster, w którym ihumenem jest car – batiuszka.

– Uchowaj nas Panie od takiego ojczulka! Ale, ale! Coś mi tu łiesz w żywe oczy, Moskalu. Mówisz, że car jest święty, a ty sam przeklinałeś Borysa Godunowa na spytkach w Samborze. Nie popełniłeś śmiertelnego grzechu?! Jakże to tak?

– Godunow, carski rab, Tatarzyn, zięć Maluty Skuratowa, nie jest moim carem.

To było coś nowego. Dydyński zaciekawiony przeszedł się po izbie, trzymając rękę na szabli.

– Jak się zatem nazywa twój car?

– Boh jeno znajet. Dobrym carem był batiuszka Iwan. A jeszcze lepszym jurodiuwy Fiodor, święty mąż, dziedzic krwi Rurykowiczów. A Godunow... Godunow to taki sam samozwaniec, łotr i rostryga jak Dymitr.

– Gdzie zatem znajdziesz swojego prawdziwego cara?

– Najwyższy go wskaże. Będzie to widać, bo oblicze gosudara jest jak twarz świętego, a jego imię wymawiane wargami – jak ikona. Nie mnie, niewolnikowi bożemu, wnikać w jego wyroki. Bóg ześle cara dla świętej Rusi, kiedy zlituje się nad nami. I gdy nadejdzie na to czas.

– Dlaczego niby miałyby się nad wami litować?

– Albowiem my wszyscy, którzy zostaliśmy ochrzczeni w Chrystusie, przyoblekliśmy się w Chrystusa. My zaś, którzy przyjęliśmy światło wiary ze Wschodu, jesteście wybranym plemieniem, królewskim kapłaństwem, narodem i świętym ludem, jak powiedział Pan.

– Narodem wybranym? Jak Żydzi? Przyznam, że oni bywają nieco mniej... kłopotliwi.

– Wasze wieliczeństwo powiedział.

– Mniejsza z tym. Chciałbym objaśnić ci, co się w ogóle dzieje, bo pewnie nie wiesz, że rozkazy... zostały zmienione. Dobrze wiadomi ci ludzie przysłali mnie do ciebie z Chrestem, aby ratować twoją moskiewską skórę.

Dydyński poczuł suchość w gardle. Nie wiedział, czy Oboleński uwierzy jego słowom na piękne oczy.

– Ja zawsze byłem wiernym rabem i chołopiszką Dworu. – Moskal oddał kolejny pokłon.

Dworu?! To było coś nowego. Jakiego dworu? Co to za dwór? Carski? Ale przecież Oboleński nie považał Godunowa. Do diaska, czy tak właśnie nazywało się sprzysiężenie ludzi, którzy chcieli porwać Dymitra?

– Dwór nie chce już porwać Dymitra, skoro carewicz sam wraca do Wielkiego Księstwa Moskiewskiego – rzekł cicho Dydyński. – Mamy pozostać przy nim i czuwać. Dlatego wkradłem się w jego łaski. Nie nam, maluczkiem i słabym, wnikać w to, co zostało postanowione. My mamy tylko słuchać i wypełniać rozkazy.

Zerknął na Borysa, ale ów zdawał się jednym wielkim znakiem zapytania. Dydyński miał nadzieję, że ten dębowy pniak był tylko zwykłym pachołkiem Dworu, używanym do niewdzięcznej służby i skąpo opłacanym przez tajemniczych wrogów Dymitra. To, że w Samborze działał tylko z drugim kompanem, a nie z drużyną gotowych na wszystko pocztowych, tylko utwierdzało w wierze szlachcica.

– Pójdziemy trop w trop za Samozwańcem – ciągnął dalej stolnikowic. – Będziemy czaić się przy jego boku jak wilki i czekać na sygnał, który wreszcie nadejdzie. W naszej misji

okażesz mi wszelaką pomoc, będziesz moim kałauzem, to jest przewodnikiem po Moskwie. Rozumiesz, chłopie?!

– Słusznie i sprytnie jest wejść w łaski rostrygi. Pojmuję wszystko, ojczulku. Skoro Dymitr wraca tam, gdzie mieliśmy go zawieźć, nie należy odwlekać jego powrotu. Mądrze to i chytrze, sam Najwyższy natchnął Dwór swoim blaskiem, że tak właśnie chce postąpić.

Dydyński miał już na końcu języka pytanie, dokąd mieli zawieźć związanego Dymitra, gdyby udało się porwać go z Rzeczypospolitej, ale wstrzymał się od tego. Taka niewiedza mogłaby go zdemaskować. Pomału, a jeszcze raz: niechaj ten gruby Moskal nabierze ufności do stolnikowica. A wtedy prawda o Dworze wyjdzie na wierzch niby szydło z worka.

– Będziesz mi służył radą i odwagą – mruknął Dydyński. – Ale zanim zaczniemy wykonywać rozkazy Dworu, chodź tu bliżej. Na kolana! – ryknął zupełnie niepotrzebnie, obawiając się, że Moskal może nie posłuchać rozkazu wydanego cichym głosem. – Bij mi pokłony, psie! Tutaj! Zaraz!

Borys drgnął, ale posłusznie ukląkł i uderzył czołem przed Dydyńskim. Jacek wstał, bo władza, którą dał mu nad Oboleńskim Niedźwiedzi Chrest, napełniała go dziwną słodyczą. Zdaje się, że mógł wymagać od Borysa więcej niż od własnego wieczystego poddanego chłopca z Dydni!

– Zanim wstaniesz, Moskalu – mruknął cicho – chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia. Mów, skąd jesteś i coś robił do tej pory, bo chcę czytać w twojej przeszłości niby w otwartej księdze. Opowiedz wszystko, co tylko nosisz pod swoim parchatym czerepem! To rozkaz!

Borys poderwał głowę jak rozwścieczony byk. Spojrzał na Dydyńskiego, a oblicze miał tak złe i zacięte, że szlachcic od-ruchowo złapał za szablę. Zapadła cisza.

Dalejże! – pomyślał Dydyński. Porwij się na mnie, psi synu! Czekam.

Oboleński nie podniósł się z kolan. Gniew minął, pokornie opuścił głowę, niczym zbity pies.

– Nie znam mego wyvodu ani dziedzictwa – rzekł ponuro. – Jako dziecko żyłem u przybranej rodziny. W Staricy, nad Wołgą, gdzie biały kamień dobywają na powierzchnię, gdzie stoi Uspieński monaster z Uspieńskim soborem i inne boże chramy. Tam byłem na łaskawym chlebie u Osypa i innych Oboleńskich, poddiaczych u wojewody. Mieli dwór przy cerkwi Wwiedzeńskiej, z dwojgiem sieni, na podklecie.

– Często cię bili?! – zapytał zaskoczony Dydyński, bo coś mu się przypomniało.

– Nie mieli dzieci, więc żywili dobrze, miłowali, posłali do szkoły cerkiewnej... Wielce płakali, kiedy mnie od nich zabrano.

Borys umilkł, gapił się na ścianę nieprzeniknionym wzrokiem.

– Kto cię zabrał? I za co?

– Nie wiecie kto, ojczulku Jacku Aleksandrowiczu? Anton Uspieński... Nie znacie go? Dziw bierze...

Jasna krew piczę murwy zalą! – zaklął Dydyński. Wpadłem jak śliwa w kompot!

– Nie znam – odparł głośno, chcąc ukryć fakt, że właśnie czuje się jak robak na szpilce. – Nie zapominaj, że jestem Lachem. Nie bywałem w Moskwie, a Dworowi służę od niedawna...

– I wam Anton Uspieński nieznakomyj? Taki stary, z siny mi worami pod oczyma... Dziwne!

– Nie twoja rzecz, błaznie!

– Toż to ojczulek mój umiłowany, Anton Makarewicz, pomagaj Boże jego grzesznej duszy!

– Cóż dobrego dla ciebie uczynił?

– Ubił Osypa Oboleńskiego... Moich przybranych rodziców.

– Zabił? – Stolnikowic drgnął. – Za co?

– Nie chcieli mnie oddać. Ja to jak przez mgłę pamiętam. Matka płakała, batuszka do szabli chwycił. Bili się we dworze. A ja stałem. Mały, sam, na śniegu. I widziałem krwawe ciała. Wszystko spłynęło posoką.

– I to według ciebie dobrze? Kochasz Uspieńskiego za to, że zabił twych przybranych rodziców, którzy byli ci życzliwi?

– Wyplakałem oczy, kiedym był zwykłym otrokiem. Nie chciałem jeść ani spać. Ani pić. Wtedy wmuszał we mnie suchary, poił winem. I nie żałował różgi ani nahaja.

– Zaiste zacny człek. Sam chciałbym mieć takiego nauczyciela.

– Mogłem się tylko modlić – mruknął Moskal. – Było, mięło. Ojczulek Anton Makarewicz zabrał mnie do monasteru, nauczył szablą robić i strzelać z rusznicy, jeździć konno jak bojar.

– Nie znasz zatem swoich prawdziwych rodziców?

– Miejsce mego urodzenia to z woli bożej tajemnica – rzekł Moskal żałośnie. – Nie jestem bękartem, rzecz pewna, inaczej nie usynowiłby mnie Oboleński. Tak sobie tłumaczę, że mój ród mogli wygubić Tatarzy. To zwyczajne u nas, na Rusi. Kiedyś zamiarowałem dowiedzieć się, kim jestem, ale Bóg widać nie chce, by zostało to ujawnione.

Każdy ma swoją tajemnicę i złamane serce, pomyślał Dydyński. Tyś stracił rodziców, a ja ukochaną, zamkniętą w klasztorze wbrew woli.

Borys przeżegnał się wolno.

– Nie mam nikogo poza Antonem Makarewiczem. Wejrzyjcie, ojczulku, w swoją duszę i sami osądźcie, cóż mi pozostaje, jak go umiłować. Choć zabił Oboleńskich, był dla mnie surowy... ale sprawiedliwy! Poza tym Uspieński pokazał mi Dwór. Dzięki niemu Starzec całował mnie w czoło i zabrał moją duszę.

Zabrał moją duszę... Tak właśnie powiedział! Dydyński poczuł się jakoś nieswojo, ale zachował kamienne oblicze, jak kosterka, który dostawczy do ręki kilka blotek, udaje, iż trzyma w garści same tłuste tuzy.

– Wiem, wiem. Znam Starca.

– Znacie Starca?! – jęknął Moskal. – O Jacku Aleksandrowiczu, znacie świętego człowieka?! Ja głupi dla Chrystusa, ubogi duchem, nie poznałem się na was. Dotyk Starca jest jak natchnienie Pana. Jam widział go tylko raz, ale pamiętać będę do końca życia. On z łaski swojej wysłał mnie na Litwę.

– Znaczy do Wielkiego Księstwa Litewskiego? – wypalił jak z bandoletu Dydyński, chcąc za wszelką cenę zejść ze śliskiego tematu.

– Na Litwę... Znaczy tu, do was. Aby Dymitra przywieźć w skrzyni.

– Tu Korona, a nie Litwa.

– Ja znaju... Lud prawosławny swoje strony zowie Rusią najprzedniejszą, a to, co na zapadzie, to Litwa, pod którym mianem rozumiemy Rzeczpospolitą. A wszystkie inne narody to Niemczyzna, bowiem tam ludzie w pludrach chodzą.

– Jakże to? Francja, Szwecja, Rzesza Niemiecka? Do jednego worka wszystko wrzucacie?

– Bo to jedni zaprzańce. Zwą ich u nas często: niemczyzna francuska, niemczyzna duńska, szwedzka, brabancka. A o innych narodach rzadko kto u nas słyszał. Bo i po co? Wszak na świętej Rusi żyjemy, za co Panu Bogu cześć co dzień oddajemy, iż nam dał możliwość narodzenia się między ludem prawosławnym.

– Ach, cóż to za łaska urodzić się Moskalem – mruknął Dydyński, śmiejąc się w duszy z niedostatków wiedzy Borysa. Jakże ubogi jestem duchem, że nie nazywam się Fiodor, Aleksy albo Mykoła i nie śmierzę dziegiem na miłę! – dodał w myślach. Cóż, nie spodziewał się chyba, że w cerkiewnej lub klasztornej szkole uczono Oboleńskiego kartografii z atlasu Mercatora albo z *Civitates Orbis Terrarium* Brauna i Hogenberga, który ukazał się w Kolonii jakieś trzydzieści lat temu. Swoją drogą, chyba nawet była tam mapa Moskwy ukazująca gródek pełen pokrzywionych drewnianych kleci gdzieś na krańcach znanego świata, po którego ulicach przechadzały się tury, żubry i białe niedźwiedzie. – To wszystko, co chciałem wiedzieć. A teraz milcz, trzymaj gębę zamkniętą nie na jedną, ale na trzy kłódki. I czekaj, aż wezwę cię do siebie.

Borys skłonił się, a Dydyński wstał i ruszył do wyjścia.

Omiał nie rozbił sobie głowy, przechodząc przez niskie drzwi. Wszystko dlatego, że historia opowiedziana przez Bo-

rysa dziwnym trafem przypominała dawne dzieje... Dymitra Iwanowicza, które ten przedstawił Dydyńskiemu w opowieści, jaką roztoczył przed nim w Samborze.

Dwór i Starzec. Kim byli? Jedno wydawało się pewne – nie mieli chyba związków z carem Borysem Godunowem. Podstępna gra Dydyńskiego zaczynała przynosić pierwsze owoce.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki